

Scrollujemy koniec internetu



Fot. ijeab/Freepik

Kulturowa dominacja mediów społecznościowych wpłynęła na naprawdę radykalną zmianę w postrzeganiu internetowego świata. Zdecydowanie hegemoniczny status Facebooka, Instagrama czy TikToka przyniósł XXI wiekowi wiele pierwotnie osobliwych, a z czasem zupełnie powszechnych pomysłów na to, w jaki sposób można, a nawet powinno się spędzać czas w sieciowym uniwersum.

Przede wszystkim przestrzeń wirtualna uległa skrajnej homogenizacji. Niegdysiejsza idea „sur-

fowania” po rozmaitych stronach WWW musiała ustąpić nowemu rodzajowi eksploracji – wręcz klaustrofobicznej w swoim ujednoliceniu konsumpcji „contentu”. Współczesny internauta nie jest już odkrywcą nieznanego. Nie podróżuje szlakiem zatimizowanych, funkcjonujących niezależnie od siebie tematycznych witryn. Zamiast tego w pełni oddaje się aktywności wcale nie różniącej się od skakania po telewizyjnych kanałach, które z taką lubością uprawiały pokolenia epoki prefacebookowej.

Dzisiejszy użytkownik internetu nie poszukuje. Dzisiejszy użytkownik internetu scrolluje.

Spędza poranki, popołudnia i wieczory na pojedynczej, ukończonej platformie. Platformie, która oferuje mu wszystko, czego potrzebuje, a więc wymuszającą całkowitą wierność. Aktualne doświadczenie sieciowe w dużej mierze rozpoczyna się i kończy na koniurszkach naszych palców wykonujących ten sam półauto-matyzowany ruch, gest uległości wobec tych samych liter, obrazów i dźwięków pojawiających się w tych samych miejscach, o tych samych porach, produkowanych przez tych samych twórców zaspokajających głód tych samych odbiorców.

Wbrew pozorom, najgroźniejszą cywilizacyjną chorobą nie jest uzależnienie od internetu, a raczej obsesja na punkcie mediów społecznościowych. Problematyczne jest to, że oba koncepty zostały nieoficjalnie ożenione mocą destrukcyjnego synonimu.

Egzystujemy w erze zdefiniowanej przez instarzewistość, a więc nasz onlinowy byt charakteryzuje uczucie uwięzienia. Wpadliśmy w sidła relacji, rolek, komentarzy, polubień oraz udostępnień i nie mamy żadnych szans na uwolnienie się z nich. Nie chodzi tu jednak o niemożność słynnego „wylogowania się do życia”, niesionego na sztandarach niejednej nieskutecznej kampanii społecznej. Nie chodzi też o brak chęci do porzucenia cyfrowej codzienności i odgrywania roli porządnego członka klasy średniej odnajdującego duchową arkadę w leśnym kurorcie.

Szkopuł nie w tym, iż w ogóle spędzamy czas w świecie wirtualnym – być może za często, być może wcale nie. Prawdziwy problem stanowi rodzaj internetowej aktywności, który wszyscy tak so-

bie obecnie upodobaliśmy. W zamierzonych czasach internet jawił się jako narkotyk euforyczny. Wizyty w świecie wirtualnym pulsowały nerwową energią ulotności, tymczasowości. Względy ekonomiczne oraz technologiczne zazwyczaj nie pozwalały przeciętnemu internaucie na pełne zanurzenie się w otchłań cyberprzestrzeni. Wiele ograniczeń związanych z dostępnością internetu mogło wydawać się przeszkodą, ale z drugiej strony wzmagало intensywność sieciowych przeżyć. Medium, które nie daje się całkowicie ujarzmić, które nie zawsze jest na wyciągnięcie każdej ręki, ekscytuje przecież znacznie bardziej niż to, które wręcz zabiega o naszą nieprzerwaną uwagę.

„Stary” internet uzależniał, ale jednocześnie stymulował, zachęcał do odkrywania swych tajemnic, motywował do wzmożonej, intelektualnej aktywności. Nowy zamyka kolektywną świadomość w więzieniu mediów społecznościowych. Zmusza użytkowników do wiecznego poruszania się po trzech, czterech właściwie identycznych agregatach treści. Powoduje iście syzyfowe zapętlenie się w jedностajnym mechanizmie nieskończonego scrollowania – czynności, która zdominowała współczesne doświadczenie internetowe, nadając mu charakteru wegetacyjnego.

Spektakularna transformacja internetowej rzeczywistości oczywiście rymuje się z analogicznymi zmianami i pęknięciami we współczesnej strukturze późnego kapitalizmu. Naturalnie, kondycja dominującego systemu produkcji ma znaczący wpływ na kondycję jednego ze swoich produktów, w tym wypadku internetu.

W niepoohamowanej żądzy scrollowania niczym w społeczno-politycznym lustrze odbijają się wszystkie istotne kłopoty wiecznie

schyłkowego i wiecznie nieumarłego monstrum – Kapitału.

Kompulsywne scrollowanie stanowi odpowiedź na problem nierozróżnialności czasu wolnego i czasu pracy. Współczesny, ogarnięty presją produktywności człowiek nie posiada wystarczającej ilości energii na to, by poza fabryką czy biurem aktywizować swój umysł. Półżywe scrollowanie pozostaje więc jedynym rodzajem przyjemności, na jaki może sobie pozwolić.

Co więcej, rzeczony kapitalistyczny podmiot cierpi na chroniczny strach przed samotnością. Żyje w świecie uformowanym przez thatcherowską maksymę o nieistnieniu społeczeństwa. Świecie rezygnującym z ideałów wspólnotowości i komunitaryzmu na rzecz skrajnego, alienującego indywidualizmu. Pozostawiony sam sobie, pozbawiony realnych społecznych więzi (te rozpułyły się w obcości wielkich aglomeracji) oraz namacalności uczuć (te urykowił Tinder), za wszelką cenę próbuje łącać wielką dziurę w swoim sercu. Łudzi się, że obsesyjne scrollowanie jest w stanie wypełnić ten gigantyczny, egzystencjalny krater.

Aktualna pozycja mediów społecznościowych pokazuje, że ich moc jest zdecydowanie niszczycielska.

Dominacja Facebooka, Instagrama i TikToka pozbawiła internet jego pierwotnego czaru. Sieciowe uniwersum znacznie się skurczyło. Nie ma już w nim miejsca na odkrywanie nowych terenów. Wydaje się wręcz, że najlepsze co ma w tej chwili do zaoferowania, zamyka się w obietnicy bezwiednej, machinalnej konsumpcji, czyli jedynej przyjemności, o którą możemy zabiegać w epoce opętańczej hiperproduktywności.

Łukasz Krajnik